

Perła Tanganiki



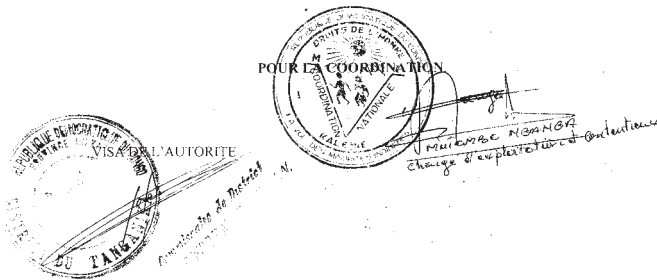
DROITS DE L'HOMME
LA VOIX DES MINORITES INDIGENES
V.M.I. / O.N.G.D
KELEMIE

FEUILLE DE ROUTE N° 128/VI/196/2004

DE MONSIEUR : Georges Mbuyu Bantu Kav. MAMA
GRADE : PREMIER DU CONSEIL D'ADMINISTRATION
MATRICULE :
FONCTION : COORDONNATEUR
SERVICE DE : DROITS HUMAINS
ACCOMPAGNE DE : OUTIDER TIMOTHIE, BENOTI BAMBANA, NGENIA OJANA
SE REND DE : KALEMIE - KAPAMBARE
MOTIF DU VOYAGE : Visite amicale Droits Humains
DEPART PREVU LE : 19/ AOÛT 2004
RETOUR PROBABLE : 02/ SEPT 2004
MODE DE TRANSPORT : Vélo, Moto, Véhicule, P. Réserve
MENTIONS SPECIALES :

N.B.: Les autorités tant civiles que militaires sont priées de lui venir en aide en cas de besoin.

Fait à Kalemie, le 18/08/2004



Przepustka przyznana autorowi w sierpniu 2004 roku
przez kongijskie władze prowincji Katanga.

Belgowie nazywali port w Kalemii „perłą Tanganiki”, więc siedząc na pokładzie ONZ-owskiego samolotu z Lubumbashi miałem nadzieję, że i ja dostrzegę jego blask. Lekka maszyna szarpała i podrygiwała, gdy piloci starali się lawirować między chmurami, a ja wpatrywałem się w małe okienko, próbując dojrzeć miasto.

Jeziro Tanganika to zagadka. Naukowcy uznają je za najstarsze i najgłębsze w Afryce, a do tego żyje w nim wiele unikatowych gatunków mikroorganizmów i zwierząt. W przeciwieństwie do pozostałych wielkich afrykańskich akwenów, jego wody nie odpływają wraz z nurtem wielkiej rzeki, ale meandrują w skromnym korycie Lukungi, która ożywia się jedynie w porze deszczowej.

Legandy rozpowszechnione wśród plemion znad Tanganiki mówią, że jej powstanie było karą za niedyskrecję. Zgodnie z przekazem, pewna rodzina mieszkająca na parnej sawannie w środkowej Afryce przez pokolenia żyła dostatnio dzięki własnemu źródłku, czerpiąc z niego chłodną wodę i zjadając się rybami. Członkowie rodu przysięgali bronić sekretu pochodzenia wody i ryb – gdyż wiedzieli, że inaczej wszystko stracą. Jednak pewnego dnia pod nieobecność męża pani domu wdała się w romans. Swojemu kochankowi przygotowała ucztę z ryb, a jego pragnienie ugasiła chłodną wodą. Zachwycony mężczyzna koniecznie chciał wiedzieć, skąd pochodzą te specjały, i mimo że kobieta początkowo nie chciała wyjawić sekretu, w końcu uległa jego namowom. Zakłęcie zostało złamane: ziemia zaczęła pę-

kać, a spod jej powierzchni trysnęła woda, która zalała kochanków i utworzyła ogromny zbiornik.

Kiedy po raz pierwszy przeczytałem tę opowieść, uderzyło mnie, jak bardzo przypomina dzieje całego Konga. Członkowie miejscowych plemion żyli w pokoju przez pokolenia, do czasu gdy pojawili się cudzoziemcy – arabscy łowcy niewolników i biali kolonizatorzy, którzy najpierw wywozili stąd ludzi, a następnie kość słoniową, kauczuk i bogactwa mineralne.

Mniej więcej 500 kilometrów na wschód od trasy mojego lotu, po drugiej stronie Tanganiki, leżała Tanzania. Tam awionetki były częstym widokiem, bo przewoziły turystów pomiędzy najwyższym szczytem Afryki, Kilimandżaro, a znanymi na całym świecie rezerwatami przyrody. Po kongijskiej stronie nie było łatwo. Wynegocjowanie miejsca na pokładzie samolotu zajęło mi miesiąc, ale nie miałem innego wyjścia. Podobnie jak wszystkie inne misje organizowane przez ONZ, MONUC może być krytykowana za biurokrację i niewielką skuteczność, ale z uwagi na rzeczywisty brak władz w Demokratycznej Republice Konga ma najbardziej ogólnopaństwowy charakter, dzięki czemu stała się dla mnie jedyną drogą dostępu do Kalemii.

Niestety, „perła Tanganiki” tego dnia mnie nie olśniła. Warstwa chmur była zbyt gruba i jedyne, co zobaczyłem, to głębia szarości, podczas gdy samolot podskakiwał na wyboistym pasie lotniska.

Lądowisko można by technicznie określić jako instalację wojskową ONZ-etu, ale byłoby to stwierdzenie nieco przesadzone: nieogrodzony pas startowy otaczały chwasty, a dziurawy asfalt znaczyły łaty po naprawach. Jedynym rzeczywiście wojskowym budynkiem była biała drewniana strażnica, wysoka na zaledwie 3 metry, na której dojrzałem żołnierza: nosił pomalowany na niebiesko blaszany hełm i kamizelkę kuloodporną.

Gdy pilot wyszedł z kabiny, by wypuścić pasażerów, poszedłem za nim, uwalniając się z mojego przypominającego pudełko fotela, szczęśliwy, że wreszcie mogę rozprostować kości. Nie widziałem jeziora, ale mogłem je poczuć – ten bogaty zapach w nieruchomym, parnym powietrzu... Choć Kalemia leży w Katandze, tej samej pro-

wincji co Lubumbashi, wygląda inaczej. Miasto przycupnęło na suchym płaskowyżu, ale port nad jeziorem jest otoczony bujniejszym lasem tropikalnym. Zanim skończyłem się przeciągać, poczułem na plecach pierwsze krople potu, do których przykleiła się moja koszula z długim rękawem.

W zasięgu wzroku nie miałem żadnych budynków, ale żołnierze MONUC ustawili kilka kontenerów, które wyglądały jak hala przylotów. Te białe, przypominające pudełka segmenty, są znakiem rozpoznawczym ONZ-etu na całym świecie. Jeśli podłączy się do nich prąd, stają się kojącą, klimatyzowaną przestrzenią mieszkalną, zarówno w pokrytych śniegiem górach Afganistanu, jak i na zachodniej Saharze. Na zewnątrz może się toczyć wojna, ale oddziały pokojowe zawsze mogą liczyć na swoje białe pudełka, w których pracują, śpią, jedzą, a nawet korzystają z Internetu.

– Proszę za mną – powiedziała biała dziewczyna w szaroniebieskim mundurze. Mówiła po angielsku z nieco dziwnym akcentem, więc zerknąłem na flagę przy jej nazwisku – Chorwacja. Na zewnątrz powietrze było gorące i mdłe, ale ona miała na sobie kilka warstw ubrań: widocznie klimatyzacja dobrze działała. Wszedłem do środka, by odznaczyć swoje nazwisko na liście pasażerów, i zadrzałem, gdyż zrobiło się zimno. Postanowiłem poczekać na zewnątrz na Michela Bonnardeaux, pracownika ONZ-etu, którego optymizm przywiódł mnie do tego miejsca. Obiecał spotkać się ze mną po wylądowaniu samolotu, ale gdy czekałem, wciągając w nozdrza zapach Tanganiki, a moja koszula coraz bardziej przemakała od potu, nigdzie go nie widziałem.

Kalemia była jedną z pierwszych osad założonych w Kongu po wyprawie Stanleya przez belgijskich agentów kolonialnych. Kiedy podróżnik w 1878 roku wrócił do Wielkiej Brytanii z dowodami na to, że rzeka Kongo jest żeglowna na odcinku kilku tysięcy kilometrów, próbował najpierw skłonić władców do zgłoszenia roszczeń do tego terytorium, co mu się jednak nie udało. W tym czasie brytyjskie władze kolonialne nie były zbyt zadowolone z niskich przychodów, jakie uzyskiwały z dość skromnych w tym czasie afry-

kańskich posiadłości. Wielkie fortuny rodziły się w Indiach i na Dalekim Wschodzie, a zanim odkryto pokłady złota i diamentów, Afryka nie wydawała się atrakcyjna. Już samo utrzymanie Kolonii Przylądkowej wokół Kapsztadu dużo kosztowało monarchię. Brytyjskie wojska wykrwawiały się w całej serii wojen z plemionami Khosa i w bitwach z Zulusami, które w ciągu roku doprowadziły do klęski pod Isandlwana i obrony Rorke's Drift. Stanley dokonał odkrycia w niewłaściwym momencie i jego sugestie, że Brytania powinna skolonizować dorzecze rzeki Kongo, zostały stanowczo odrzucone przez władze imperium.

Leopold II z Brukseli okazał się bardziej otwarty na sugestie. Przez lata śnił o kolonialnym imperium, ale nie udało mu się zająć odpowiednich posiadłości. Kiedy dowiedział się o sukcesie Stanleya, zaprosił odkrywcę do swojego pałacu i zrobił wszystko, by traktowano go tutaj wyjątkowo. W ciągu kilku tygodni obaj panowie wymyślili ambitny plan. Władca jednego z najmniejszych i najmłodszych europejskich narodów (państwo belgijskie zaistniało na mapach dopiero w 1830 roku) zlecił naturalizowanemu Amerykaninowi urodzonemu w Walii ogłoszenie, że całe dorzecze rzeki Kongo jest jego prywatną własnością. Stanley miał zyskać godziwą zapłatę, a Leopold – ważną posiadłość.

Zaledwie dwa lata po przejściu przez dorzecze Konga Stanley wrócił tam w charakterze kolonizatora, tym razem na pokładzie statku. Dopłynął do ujścia i zszedł na ląd wraz z budowniczymi, którzy koniecznie chcieli wytyczyć drogę przez Góry Krysztalowe, strzegące dostępu do niezeglownego górnego odcinka rzeki. To trudne przedsięwzięcie zajęło dwa lata i kosztowało życie setek afrykańskich robotników, którzy dosłownie zapracowali się na śmierć, zdobywając krok po kroku kolejne przyczółki. Właśnie temu, podobnie jak wielu innym osiągnięciom w trakcie afrykańskich ekspedycji, Stanley zawdzięczał swój przydomek w języku suahili – Bula Matari, „Kruszyciel Skał”.

Działając zgodnie z przyjmowanym przez białych kolonizatorów założeniem dotyczącym wyższości rasowej Europejczyków, odkrywca miał niewielki wzgląd na miliony rdzennych mieszkańców Konga.

Przez pewien czas zawierał układy z miejscowymi wodzami, podsuwając im dokumenty, na podstawie których przekazywali prawa własności ziemi „królowi zza wody”. Trudno nazwać ten proces negocjacjami – wodzowie doskonale wiedzieli, co by się stało, gdyby nie przystali na te warunki: zostaliby obaleni przez zbieraninę świetnie uzbrojonych pionierów i osadników, którzy podążali za Stanleyem. Podobnie jak europejscy łowcy niewolników sprzed 400 lat, potrafił on nastawiać jedno plemiona przeciw innym, dostarczając broń, ubrania i alkohol jednej grupie, by ta podbiła swoich rywali. Kolejne szczepy poddawały się jemu i agentom kolonialnym króla Belgii, gdyż nie miały innego wyjścia, a wpływy kolonizatorów rozlewały się po całym dorzeczu.

Sukcesy Leopolda II w Kongu sprawiły, że inne europejskie mocarstwa zaczęły z zainteresowaniem zerkać na Afrykę. Dotychczas Francja, Niemcy, Hiszpania, Portugalia i Wielka Brytania raczej ignorowały wnętrze kontynentu, ale zachłanność belgijskiego króla zmusiła te państwa do refleksji i na początku zimy 1884 roku przedstawiciele europejskich potęg zbrali się na konferencji w Berlinie, by podzielić między siebie wszystko, co jeszcze nie było podzielone. Leopold przedstawił zajęcie Konga jako fakt dokonany i kiedy w lutym 1885 roku konferencja w Berlinie dobiegła końca, najważniejszy dokument zawierał ustęp o uznaniu Wolnego Państwa Kongo. Zajmowało ono ponad trzy miliony kilometrów kwadratowych, a roszczenia do niego zgłaszała nie Belgia, ale sam król.

Na tym terytorium znajdowały się głównie dziewicze lasy tropikalne i sawanna, przecięte rzeką Kongo i jej niezliczonymi dopływami, zaludnione przez miliony Kongijczyków, ale w początkowym okresie rządów kolonialnych to nie miejscowi stanowili największe zagrożenie dla interesów Leopolda. Jego głównym zmartwieniem byli operujący na wschodzie kraju arabscy łowcy niewolników – ci sami, których opowieści o wielkiej rzece w centrum Afryki zaintrygowały Livingstone'a i Stanleya w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku. Wielu z nich mieszkało we wschodniej części kraju od wieków, organizując regularne najazdy w celu zdobycia niewolników

i kości słoniowej, transportowanych następnie karawanami do wielkich arabskich centrów handlowych w okolicy Zanzibaru.

Konferencja berlińska była zebraniem ludzi białych – Arabowie ze wschodniej Afryki nie zostali zaproszeni, ale podejmowano liczne wysiłki, aby osiągnąć jakieś porozumienie. Mimo to napięcie rosło. Europejczycy stawali się coraz bardziej chciwi, a ich apetyty osiągnęły punkt kulminacyjny w trakcie krótkiej, ale bardzo krwawej wojny, która rozpoczęła się w 1892 roku. Po obu stronach walczyli Kongijczycy, obie strony dopuściły się wielu okrucieństw, ale nowoczesne europejskie uzbrojenie dawało wyraźną przewagę Belgom, którzy zmietli arabskie punkty oporu w serii bitew i potyczek zmierzających do oczyszczenia Konga z ludności arabskiej i wyznaczenia zasięgu terytorium będącego wyłączną własnością Leopolda II. Wygodną naturalną granicą było jezioro Tanganika. W najszerszym miejscu akwen ma zaledwie 70 kilometrów szerokości, ale z północy na południe ciągnie się przez 650 kilometrów, więc belgijscy pionierzy szybko skupili swoje wysiłki na tym wysuniętym najdalej na wschód obszarze. Najpierw musieli poradzić sobie z bardzo liczną populacją Arabów, którzy pojawili się w Kongu na początku XIX wieku. Na zachodnim brzegu Tanganiki, w miejscu ich pierwszego wyładunku, powstała duża osada, Mtowa, leżąca w niewielkiej odległości na północ od ujścia jedynej rzeki zasilającej swoimi wodami akwen, Lukugi.

5 kwietnia 1892 roku belgijski oddział pod dowództwem sierżanta Alexisa Vrithoffa starł się z arabskimi jeźdźcami na płaskowyżu w pobliżu ujścia rzeki do jeziora. Sierżant zginął w walce, ale Belgowie w końcu pokonali Arabów i przekształcili okolice ujścia w najważniejszy śródlądowy port Konga, zaopatrywany dzięki ukończonej w 1915 roku linii kolejowej, którą dowożono towary ze środkowej części kraju, oraz przez promy i parowce kursujące z portów obecnej Zambii, Tanzanii i Burundi. Na cześć Alberta I, następcy Leopolda II na tronie Belgii, miasto nazwano Albertville (pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku przemianowano je na Kalemie), a według mojego *Podróżnego przewodnika po belgijskim Kongu* z 1951 roku,

rozbudowa infrastruktury oznaczała, że port „był przeznaczony do wielkich celów”.

Kiedy Michel wreszcie odebrał mnie z pasa startowego, mogłem się przyjrzeć miastu. Z daleka Kalemia wyglądała dość zwyczajnie. Gdy toczyliśmy się w jej kierunku piaszczystą dróżką okalającą dolną część Tanganiki, zobaczyłem główny kościół: stojący na cyplu biały budynek z dość elegancką dzwonnica, odbijający się od wyrastających na horyzoncie, porosłych drzewami pagórków. Na pierwszym planie, pośród zielonych palm kokosowych i bananowców, rysowały się dwie rdzawoczerwone wieże o skorodowanych dachach, które okalały coś, co wyglądało na główną arterię komunikacyjną. W oddali, obok końcowej stacji kolejowej i stacji rozrządowej, było widać małą zatoczkę pod osłoną uroczego falochronu. Ale kiedy dżip przedzierał się wzdłuż wybrzeża i zbliżaliśmy się do miasta, jego struktura stawała się coraz mniej spójna, aż wreszcie zdawała się niknąć zupełnie.

To, co wziąłem za kompleks fabryczny zniszczony w czasie ostatniej wojny w Kongu, okazało się ruiną z wcześniejszych czasów. Blaknące reklamy mogły być wymalowane na ścianach całkiem niedawno, choć umieszczone na nich znaki firmowe nie pochodziły z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX stulecia, ale sprzed pół wieku. Wśród podkładów przy stacji rosła wysoka trawa, a piaszczysty trakt po obu stronach torów, niegdyś droga, zamienił się w cienką ścieżkę, z obu stron porosłą trzciną. Stary wagon kolejowy, zbudowany parę dekad wcześniej w Republice Południowej Afryki, na którym wciąż znajdowały się napisy w języku afrikaans zakazujące palenia, rdzewiał w tropikalnym skwarze. Na podłodze jednego z przedziałów ktoś urządził sobie palenisko, teraz otoczone przez brudne garnki.

Nie było ruchliwej głównej ulicy: była zakurzona przestrzeń wypełniona grupkami wałęsających się miejscowych. Kilku domokrażców siedziało za małymi stertami nieświeżych herbatników i starych butelek z oranżadą przeschumowanych do Kalemii łodziami z Tanzanii, z drugiego brzegu jeziora. Ambitniejsi oferowali baterie i radia, ale podczas gdy znaki firmowe na chińskich kartonach wyglądały znajomo, napisy „Philipps” czy „Pannasonic” sugerowały,

że raczej nic nie jest oryginalne. Przechodnie mogli oglądać towary do woli i nie musieli się martwić o to, że zostaną rozjechani, ponieważ w całym mieście było zaledwie kilka pojazdów – głównie dżipy ONZ-etu i wiekowy land-rover należący do misjonarzy. Widziałem nawet jeden z tych pojazdów: jeśli kierowca chciał uniknąć kolein, odkrytych kanałów i innych przeszkód, mógł się poruszać z pewnością spacerową.

Były tam również rowery – stare modele z solidnymi ramami pomalowanymi na czarno i prymitywnymi hamulcami chińskiej produkcji wsparte o dające cień przydrożne drzewa. Ich właściciele oferowali je jako taksówki klientom, którzy byli gotowi zapłacić 20 kongijskich franków lub cztery pensy za przewiezienie z jednego końca zakurzonej alei na drugi. Widziałem, jak kobiety otulone bawełnianymi tkaninami, niektóre ściskające solone ryby owinięte w liście bananowców, przyjmowały dystygowaną pozę na obitych poduszkami siodelkach nad tylnymi kołami, podczas gdy rowerowi taksówkarze kołysali się na pedałach, wprawiając w ruch te przedziwne jednoślady. Słyszałem miękka dźwięczność języka suahili, w którym rozmawiały dwie pasażerki w trakcie powolnej przejażdżki.

Z budynków pozostało niewiele, jeśli nie liczyć frontowych ścian. Rdza nie tylko zabarwiła dachy, lecz także wyżarła w nich ogromne dziury, przez które w czasie niezliczonych pór deszczowych lał się tropikalny deszcz. Wilgoć, sezonowe podtopienia i zniszczone fundamenty oznaczały, że pokoje w tych domach były w ogromnej większości puste. Rury, kiedyś dostarczające wodę do każdego budynku, były zniszczone; w mieście nie świeciła ani jedna żarówka. Główny rząd sklepów wyglądał jak jedna z tych hollywoodzkich scenografii, które z przodu wyglądają bardzo porządnie, ale z tyłu nie ma nic poza kilkoma rusztowaniami podtrzymującymi fasadę.

Nie było tu złóż kobaltu, diamentów ani złota, więc Kalemia pułstoszała. Po dawniej ważnym ośrodku pozostały tylko łupiny.

Kiedy jechaliśmy do miasta, Michel zapytał mnie o pobudki. Wiedział dużo o historii tego miejsca i wydawał się bardzo zadowolony, że znalazł kogoś, z kim może dzielić swoje zainteresowania.

– Więc jesteś człowiekiem dość szalonym, by podążać szlakiem Stanleya – zauważył. – Historia tego miejsca jest nadzwyczajna – łowcy niewolników i kość słoniowa, Belgowie, którzy toczyli swoje bitwy dokładnie w miejscu, gdzie dziś jest miasto – ale jeszcze nie spotkałem nikogo, kto przyjechałby tutaj wyłącznie ze względu na historię. Historia to luksus, na który nie mogą sobie pozwolić miejscowi. Dla nich ważniejsze jest to, skąd wezmą jedzenie i łyk czystej wody.

Mówił powoli, koncentrując się na prowadzeniu dżipa po wyboistej drodze, pochylając się mocno nad kierownicą, by w miarę możliwości dojrzeć znad maski samochodu kolejną dziurę.

– Nie jest to najgorsze miasto, jakie widziałem w tym kraju, ale nie żyje się tu łatwo. Prąd powinna zapewniać elektrownia wodna zbudowana w górach na północ stąd w latach pięćdziesiątych XX wieku, ta sama, którą zaatakował Ernesto Che Guevara, ale dostawy są tylko okresowe.

Czytałem zapiski Che Guevary z jego pobytu w Kongu. Przyleciał tu w 1965 roku, gotowy narazić życie w walce przeciwko reżimowi Mobutu. Z kontrolowanej przez komunistów Tanzanii chciał rozszerzyć rewolucję na tereny po drugiej stronie jeziora. W czasie krótkiego pobytu w okolicy spotkał się z Kabilą, wówczas młodym kongijskim dysydem. Ponad 30 lat później to właśnie on doszedł do władzy, ale po tym pierwszym spotkaniu Che Guevara nie był przekonany co do jego kompetencji. Opisywał go raczej jako pijanego kobieciarza.

Na ironię losu zakrawa to, że Che Guevara, antykolonialista par excellence, trafił do Konga dokładnie w taki sam sposób, jak Stanley, kolonialny pionier – na pokładzie małej łodzi. Przybył pod osłoną nocy, na czele grupki złożonej z zaufanych kubańskich rewolucjonistów i kilku kongijskich rebeliantów. Miejsce, w którym wysiedli, musiało znajdować się bardzo blisko tego, w którym wylądował Stanley. Po dokonaniu desantu grupka Che Guevary udała się w kierunku gęsto zalesionych wzgórz na zachód od Tanganiki, gdzie mężczyźni spędzili kilka tygodni, próbując przeprowadzić zamach na reżim Mobutu. Z pamiętników wynika, że rewolucjonista nie był wtedy zbyt szczęśliwy, a jego zapał powoli słabł.

Cała ta eskapada zakończyła się chaotycznym atakiem na elektrownię wodną w Benderze, 150 kilometrów na północ od Kalemii, jeden z ostatnich belgijskich projektów, którego częścią był ambitny plan położenia tamy na rzece w spadzistym wąwozie przed skierowaniem wody do turbin. Ukształtowanie terenu utrudniało ukończenie tego zadania, ale też przeprowadzenie ataku planowanego przez Che Guewarę. Kiedy natarcie się nie powiodło, rewolucjonista całą winą obarczył słabą komunikację między bojownikami, a ton, w jakim utrzymane są te fragmenty pamiętnika, sugeruje, że właśnie to stało się główną przyczyną jego utraty wiary w kongijskich współpracowników. Kilka dni później był już z powrotem nad Tanganiką, skąd udał się pod osłoną nocy w kierunku Tanzanii. Nigdy nie powrócił do Konga.

Michel dokładnie wypytał mnie o trasę, którą chciałem pokonać od Kalemii do dolnego biegu rzeki Kongo, po czym stwierdził:

– Zamierzam odbyć podróż przez te tereny. Czytałem o nich i przelatywałem nad nimi, ale chciałbym zobaczyć, co się tam dzieje po okresie chaosu.

– Więc może wybierzesz się ze mną? – zapytałem. – Świetnie byłoby mieć towarzysza.

Michel potrząsnął głową.

– Moi szefowie się nie zgodzą. Nasze przepisy bezpieczeństwa zakazują podejmowania takich działań. Zwłaszcza teraz, po ostatnich wiadomościach z Burundi. Przypuszczam, że wiesz, co się stało?

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem.

– Najnowsze wieści głoszą, że dowódcy prorwandyjskich bojowników opuścili Kinszasę po protestach przeciwko mordom. Cytowano słowa jednego z przywódców rebeliantów, że układ pokojowy zostanie zerwany, a rząd przejściowy zawieszony. Jeśli to prawda, myślę, że w ciągu kilku dni możemy się spodziewać nowej wojny.

Michel pracował przez dwa lata w misji ONZ-etu w Kalemii, gdzie uczył się języka suahili i starał się poznać tradycje i mądrości miejscowych plemion. Zawiadywał biurem radia Okapi, rozgłośni kierowanej przez ONZ. Kalemia jest jednym z największych miast w Kongu, ale nie ma tu państwowej telewizji, gazet ani dostępu do

Internetu. Przybyłem tam dzień po ceremonii otwarcia olimpiady w Atenach w 2004 roku, ale gdyby nie rozgłosnia Michela, pewnie nikt by o tym nie wiedział.

Minęliśmy ruiny starego lotniska z jednopiętrowym budynkiem z lat pięćdziesiątych XX wieku, teraz perforowanym dziurami po kulach i otoczonym ze wszystkich stron przez kupki potrzaskanych czerwonych dachówek. Strzelano do niego tak wiele razy, że byłem pewien, że nawet w dziurach po kulach można znaleźć inne dziury po kulach. Na jednej z kupek zniszczonych cegieł siedział kongijski bojówkarz, który zdawał się patrzeć na dżipa i na mnie wilkiem, machając leniwie swoim karabinem.

Michel zauważył grymas na mojej twarzy i próbował mnie uspokoić.

– Od czasu zawarcia pokoju w mieście jest dość spokojnie. Jak pewnie wiesz, w czasie wojny toczyły się tu ciężkie walki, a rządowe samoloty urządzały naloty, ale rebelianci, Mai-Mai i wojsko teraz zdają się dogadywać.

Słuchałem jednym uchem, obserwując jednocześnie wypalaczy drewna, starających się dowieźć produkty swojej całodziennej pracy do miasta. Duże kawałki węgla wepchnęli do delikatnych klatek z pasków brązowej kory. Te szalone, chwiejące się ładunki odbywały ostatni etap swojej podróży – skąpo odziani mężczyźni pchali je do miasta przez piaski, a ich ciemne ciała były wysmarowane zastygłym w pocie czarnym pyłem.

I wtedy Michel powiedział coś, co natychmiast przykuło moją uwagę.

– Pewnie wiesz, że kilka miesięcy temu przeżyliśmy prawdziwy wstrząs. Jeśli spojrzysz w tamtą stronę, zobaczysz, co mam na myśli.

Kalemia leżała zaledwie kilkaset kilometrów na południe od Bukavu, które w czerwcu zostało zaatakowane przez prorwandyjskich rebeliantów. Wywołało to reakcję władz Konga skierowaną przeciwko wszystkim w jakikolwiek sposób związanym z Rwandą, zwłaszcza Banyamulenge, plemieniu ze wschodniej części kraju, które za swoich przodków uznawało Tutsich z Rwandy. Nieważne, że członkowie tego

szczepu zamieszkiwali Kongo od pokoleń – ich związek z Rwandą wystarczył, by teraz Kongijczycy mordowali ich i oskarżali.

– Oto miejscowi Banyamulenge – powiedział Michel, kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę obozu ONZ-etu w Kalemii, wskazując spory tłum złożony głównie z dzieci. – Pewnego dnia przysli całą grupą pod bramę i powiedzieli, że boją się o swoje życie. Są tu już kilka miesięcy i koczują pod plastikowymi daszkami. Nie bardzo wiemy, co z nimi zrobić, ale na razie cieszymy się, że obozują właśnie tutaj.

* * *

Albertville nie zaimponowało angielskiemu pisarzowi Evelynowi Waughowi, który przejeżdżał tędy w 1930 roku. Przybył promem do miasta, spędził tu dwie noce i pojechał pociągiem na zachód, do serca Konga. Jakiś czas później napisał książkę *Remote People*, w której ta część podróży jest opisana w bardzo niepoehlebnym sposób. W rozdziale *Second Nightmare* autor długo narzeka na małostkowych urzędników od imigracji oraz na nudę, choć chwali obsługę w głównym portowym hotelu. Opisuje, jak wydobył z bagażu swoją przenośną maszynę do pisania i wystukał kilka początkowych rozdziałów książki mimo ciągłego bombardowania przez komary, po czym udał się na pełną nerwów przejażdżkę z kapitanem promu, który pozostawił go samemu sobie na rzece Kongo.

Michel powiedział, że nie mogą zatrzymać się w bazie ONZ-etu, więc udaliśmy się na poszukiwanie hotelu, który Waugh opisywał jako serwujący „dosyć dobre jedzenie”. Znaleźliśmy dwupiętrową ruinę przy głównej ulicy, z odpadającymi płatami farby i wybitymi szybami. Obszerny taras na pierwszym piętrze był podtrzymywany przez eleganckie kolumny, ale wszystkie one miały blizny, które wyglądały jak dziury po kulach. Kiedy spojrzałem na frontową ścianę, domyśliłem się, dlaczego. Wiele lat po wizycie Waugha hotel został przekształcony w klub dla oficerów kongijskiej armii, a nazwa wymalowana na ścianie, *Mess Des Officiers*, czyniła z tego budynku tarczę strzelniczą w czasie wszystkich następujących po sobie niespokojnych okresów w historii miasta.

– Zajrzyj do Hotel Du Lac po drugiej stronie ulicy! – krzyknął z balkonu mężczyzna, którego zapytałem, czy mogę się rozejrzeć w środku. – To jest teraz gmach wojskowy. Nie możesz tu wejść.

Trzypiętrowy budynek postawiono w latach pięćdziesiątych XX wieku, w okresie, gdy miasto kwitło. Stałem naprzeciw niego, po drugiej stronie ulicy, i próbowałem sobie wyobrazić samochody zaparkowane przed hotelem, muzykę sączącą się z restauracji i wentylatory kręcące się w pokojach. Dziś nie było tu prądu ani bieżącej wody. Jacyś ludzie siedzieli na krzesłach na czymś, co kiedyś było tarasem, ale kiedy zapytałem o pokoje do wynajęcia, tylko potrząsnęli głowami.

Zakląłem po cichu. W latach sześćdziesiątych XX stulecia przez Albertville przejeżdżał amerykański dziennikarz, który próbował powtórzyć trasę Stanleya. Kiedy tu przybył, wojna domowa trwała już od pięciu lat, więc był szczęśliwy, że wreszcie dotarł bezpiecznie do portu. Poczulem tę samą euforię, ale nie byłem w stanie rozpoznać miasta, które opisywał – z wygodnym hotelem i ciepłą wodą w każdym pokoju.

Istniała jeszcze jedna możliwość. W czasie przygotowań do wyprawy nawiązałem kontakt z International Rescue Committee (Międzynarodowy Komitet Ratunkowy), amerykańską organizacją humanitarną, która w czasie wojny miała biuro w Kalemii. Próbowałem skontaktować się e-mailowo z szefem biura, Tommym Lee, ale używał bardzo zawodnego systemu bazującego na satelitarnym teleksie, który działał tylko przez kilka godzin w tygodniu, więc nie byłem pewien, czy moje wiadomości w ogóle do niego docierają.

Tymczasem Michel wczuł się w rolę przewodnika:

– Siedziba IRC jest przy tej drodze, ale zanim cię tam zabiorę, chcę ci pokazać coś interesującego.

Przewiół mnie ponownie główną ulicą; minęliśmy postój rowerowych taksówek i wałący się taras. Zła nawierzchnia drogi oznaczała, że mogliśmy poruszać się co najwyżej z prędkością spacerową. Michel wciąż pozdrawiał ludzi w języku suahili, żartował z nimi i machał ręką przez okno dżipa, aż wreszcie skierował samochód w stronę wznie-

sienia i zatrzymał się przed czymś, co wyglądało jak para brązowych chrząszczy.

– A cóż to jest? – zapytałem zdziwiony.

– Idź i zobacz sam – odpowiedział.

Dopiero po wyjściu z samochodu dojrzałem lufy dział wystające spod metalowych schronów.

– To działa morskie z I wojny światowej – poinformował mnie Michel. – Belgowie przywieźli je tutaj, gdy jeszcze warto było bronić Albertville. Przypominają o czasach, kiedy Europa uznawała to miasto za godne uwagi.

W 1915 roku Kalemia miała na tyle duże znaczenie strategiczne, że stała się sceną najważniejszych wydarzeń w afrykańskiej odsłonie I wojny światowej. Marynarka królewska przeszmygłowała tu dwie brytyjskie łodzie motorowe, próbując zorganizować niespodziewany atak na flotyllę niemieckich okrętów wojennych, które sprawowały kontrolę nad najgłębszym jeziorem Afryki. Co prawda teraz tory kolejowe były w ruinie, ale przed 100 laty brytyjczycy postanowili wykorzystać je do przewiezienia łodzi pociągami, po długiej podróży lądowej z leżącego niemal 5000 kilometrów stąd Kapsztadu. Zwycięski atak na niemieckie statki wszedł do historii brytyjskiej marynarki, a ocenzurowana wersja zdarzeń stała się kanwą książki Cecila Scotta Foreстера *Afrykańska królowa*, na podstawie której w 1951 roku nakręcono hollywoodzki film z Katharine Hepburn i Humphreym Bogartem.

W końcu Michel wysadził mnie przed siedzibą IRC w Kalemii, z wyglądu dość złowieszczą, bo zbudowaną z czarnej skały wulkanicznej. Kiedy jego dżip odjeżdżał, narzuciłem na ramiona plecak i mocno zapukałem. W bramie, na wysokości oczu, pojawiła się mała szczelina, taka jak w skrzynkach pocztowych. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, drzwi się otworzyły. Sam kolor skóry był najwyraźniej najlepszą przepustką.

– Proszę wejść, spodziewaliśmy się pana, panie Tim.

Dobrą chwilę zajęło mi zrozumienie, co się właściwie stało: najwyraźniej moje wiadomości jednak dotarły.

– Proszę wejść do środka. Tam czeka monsieur Tommy.

Postawiłem bagaż na schodkach prowadzących do domu. W pierwszym pokoju, na sfatygowanej sofie, drzemał czarnoskóry mężczyzna, a ja, stąpając nieufnie, wszedłem do zakurzonego salonu, w którego jednym końcu stał telewizor, a w drugim – stół. Pomieszczenie wypełniały meble i różne przedmioty – stosy worków z jedzeniem, plecaki i sporo sprzętu elektronicznego, głównie komputery, telefony satelitarne i kable.

– Panie Lee, panie Lee! – zawołałem niezbyt głośno. Położenie Kalemii, tuż na południe od równika, wiązało się z tym, że zmierzch trwał tu zaledwie kilka minut. Ciemność już nadciągała, więc pstryknąłem włącznik światła. Nie stało się nic. Znow wyszedłem na zewnątrz, starając się nie obudzić człowieka, którego uznałem za gospodarza. Nie udało mi się, bo między mrugnięciami i ziewnięciami postać usiadła i przemówiła do mnie z najsilniejszym amerykańskim akcentem, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć:

– Cześć. Musisz być Tim. Witaj w Kalemii. Jestem Tommy Lee, miło cię poznać.

Siedziałem przez chwilę na sofie, podczas gdy on dochodził do siebie po drzemce. Zapadła noc i w mieście zupełnie pozbawionym światła ciemność stała się wszechogarniająca. Tommy poruszył się, mamrocąc coś o tym, że to najgorsza pora dnia ze względu na komary. Zapytał o moje plany i zapewne się zdziwił, kiedy mu powiedziałem, że będę próbował przedostać się z Kalemii w kierunku rzeki.

– Tutaj ludzie rzadko podróżują drogą lądową – mówił powoli i z namysłem. – Niektórzy członkowie naszej organizacji używają motocykli, by dotrzeć do dżungli, ale nie zapuszczają się daleko.

– Czy jest jakkolwiek szansa, bym mógł użyć dwóch waszych maszyn w zamian za gotówkę?

– Synu, bardzo chciałbym ci pomóc, ale te motocykle to najcenniejsza rzecz, jaką tu mamy, i moi szefowie na pewno się nie zgodzą. Mówisz o długiej podróży, to jakieś 700 kilometrów. W zasadzie nie możesz ręczyć, że te maszyny w ogóle tu wrócą.

Byłem zawiedziony, ale przynajmniej upewniłem się, że na niektórych leśnych drogach można używać jednoślądów.

Mimo ciemności łatwo mogłem zauważyć poruszającą się po pokoju ciemną sylwetkę, która zręcznie unikała zderzenia z meblami. Zacząłem wpatrywać się uważniej, aż Tommy zauważył moje zaciekawienie.

– To jest nasz kucharz. Właśnie podaje obiad. Mamy generator, ale brakuje paliwa, dlatego nie uruchamiamy go, jeśli nie potrzebujemy. Chodź, czas coś zjeść.

Krzyknął do jednego ze strażników, by uruchomił generator. Po chwili w całym domu rozbłyły światła i po raz pierwszy mogłem się porządnie rozejrzeć. Na prostym stole znalazły się dwa nakrycia, a pomiędzy nimi ustawiono duży garnek. Widziałem, że zapalają się czerwone światełka na poszczególnych elementach cennego sprzętu telekomunikacyjnego, który zachłannie wchłaniał swoją nocną dawkę energii.

Tommy zauważył, że przypatruję się gniazdku. Utrzymywanie przy życiu baterii w moim aparacie, telefonie satelitarnym i laptopie wymagało oszczędnego gospodarowania i nie wiedziałem, kiedy będę miał następną szansę, by je naładować.

– Mamy szczęście, bo to niemal jedyny dom w całym mieście, który ma dostęp do prądu, ale sporo wysiłku pochłania zdobycie odpowiedniego paliwa, sprawdzenie, czy jest czyste i utrzymanie generatora na chodzie. Możesz naładować swój sprzęt, ale włączamy prąd tylko na kilka godzin, więc lepiej zajmij się tym teraz.

Po kolacji kontynuowaliśmy wycieczkę po domu, skręcając w ciemny korytarz.

– Tu, na samym końcu, jest łazienka. Nie wygląda zbyt elegancko, ale woda jest wystarczająco czysta, by się w niej umyć. A to twój pokój.

Z uwagi na brak alternatywy ten dom odwiedzali nie tylko członkowie IRC, lecz także włóczędzy tacy jak ja, co odzwierciedlał stan, w jakim znajdowało się pomieszczenie. Duże łóżko, równie sfatygowane jak sofa, którą widziałem wcześniej, zajmowało jego środek i było

otulone ogromną moskitierą, a w kątach leżały ubrania porzucone przez poprzednich lokatorów.

Przy stole Tommy nałożył mi ryżu z kurczakiem i zaproponował szklankę wody. Kilka godzin wcześniej Michel pokazał mi grupę kobiet myjących się w stojących wodach Lukugi i opowiedział o ostatnim wybuchu epidemii cholery w Kalemii, więc przed przyjęciem propozycji zahałem się przez chwilę. Tommy zaczął mnie uspokajać.

– Gotujemy wodę, a potem ją filtrujemy. To tutaj rutynowa procedura.

Po obiedzie generator został wyłączony, a ja siedziałem w ciemnościach, słuchając opowieści Tommy'ego. Widziałem zarys jego dłoni gładzących zarost na brodzie, gdy opisywał swoją karierę, głównie pracę w organizacjach humanitarnych. Większość czasu spędził we francuskojęzycznej zachodniej Afryce, co wyjaśniało jego doskonałą francuszczyznę i żonę z Nigerii, a do Konga przybył stosunkowo niedawno. Jednak nawet ten krótki pobyt obfitował w bardzo złe doświadczenia.

– Byłem w czerwcu w Bukavu, gdy rebelianci weszli do miasta. To było złe miejsce, mówię ci, naprawdę złe miejsce.

Poprosiłem o wyjaśnienia.

– Jak pewnie wiesz, Bukavu jest traktowane jak stolica całej społeczności humanitarnej pracującej na terenie wschodniego Konga. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie grupy posługują się tą samą siecią radiową, więc zawsze wiemy, co się dzieje. Kiedy zjawili się rebelianci, siedzieliśmy w naszych domach i słuchaliśmy radia, próbując się zorientować w sytuacji. Pracowała tam młoda Irlandka wraz ze starszą kobietą z Danii czy ze Szwecji... W każdym razie bojownicy jakoś dostali się do budynku, który zajmowała ich organizacja, i wszyscy słuchaliśmy przez głośnik, jak gwałcą tę dziewczynę. To było potworne. Starsza kobieta, którą postrzelono, mówiła nam, co się dzieje. Była pielęgniarką i w jakiś sposób przez cały ten czas potrafiła kontrolować swój głos, opisując wszystko dokładnie i rzeczowo. Miała nadzieję, że usłyszą ją stacjonujący tam żołnierze ONZ-etu z RPA, ale zanim wreszcie dotarli do miasta, minął cały dzień. To było moje pierwsze spotkanie z Kongiem. Straszne, co?

Tommy wstał i zostawił mnie, mamrocząc coś o tym, że musi sprawdzić wiadomości ze Stanów Zjednoczonych. Siedziałem cicho, myśląc o historii, którą właśnie mi opowiedział, a potem skierowałem się do mojego sanktuarium, czyli ukrytego pod moskitierą łóżka. Po raz ostatni widziałem Tommy'ego tej nocy przez okno jego małego biura. Było ciemno i tylko ekran laptopa oświetlał jego zarośniętą twarz. Przypomnił mi się zaatakowany przez komary Evelyn Waugh, stukający swoją przenośną maszyną do pisania w trakcie prac nad książką 70 lat wcześniej w tym samym mieście.

Następnego ranka obudził mnie natarczywy głos wypytujący o „pana Tima”. Nastął już poranek, ale było jeszcze wcześniej i nie widziałem śladu Tommy'ego. Naciągnąłem spodnie i koszulę, a między jednym a drugim leniwym mrugnięciem zobaczyłem niezłe ubranego Kongijczyka, który siedział na mojej ulubionej zapadającej się sofie.

– Dzień dobry. Jestem Benoit Bangana, pracuję w Care International i słyszałem, że potrzebuje pan pomocy w sprawie motocykli.

– Tak, to prawda – nie obudziłem się jeszcze zupełnie i starałem się zrozumieć, co się dzieje. Brian Larson, szef Care International, której kwatery główna znajdowała się tysiące kilometrów stąd, po drugiej stronie kraju, dotrzywał obietnicy.

– Jestem tu z kolegą. Mamy dwa motocykle i jeśli jest pan gotów podjąć ryzyko, możemy pana kawałek podwieźć.

Wciąż byłem śpiący i nie bardzo wiedziałem, czy powinienem wierzyć w to, co słyszę. To po prostu nie pasowało do układanki, do tego, co mówiono mi o tym miejscu. Przez głowę zaczęło mi przelatywać mnóstwo pytań. Skąd się wziął ten człowiek? Jak się tu dostał? Czy mówił serio?

– Stacjonuję w mieście Kasongo. Miasto leży jakieś 500 kilometrów stąd, a Care International to jedyna organizacja humanitarna działająca na tym obszarze. Zazwyczaj docieramy tam samolotem, ale ostatnio staramy się rozszerzyć nasze pole działania i od kilku miesięcy przygotowujemy się do podróży lądowej do Kabambarre, 300 kilometrów stąd. Motocykle to jedyny możliwy środek transpor-

tu. Kiedy dowiedzieliśmy się, że potrzebujesz pomocy, planowałem już wyjazd do Kabambarre, więc mój szef poprosił, żebym stamtąd przyjechał tutaj i zabrał cię ze sobą.

Byłem zachwycony.

– Jak daleko możesz mnie podwieźć? Znasz drogę?

Benoit się uśmiechnął.

– Myślę, że mogę cię zabrać do Kasongo. Nasze motory są dobre i mam nadzieję, że uda się kupić dość benzyny w Kalemii. Tam nie ma nic, więc wszystko, co będzie nam potrzebne, musimy zabrać stąd – całe jedzenie, wodę, dosłownie wszystko.

Ta sytuacja oznaczała dla mnie duży postęp, ale moim głównym zmartwieniem była kwestia bezpieczeństwa.

– Czy jest tam bezpiecznie? Co z rebeliantami i Mai-Mai?

Benoit przestał się uśmiechać, a jego mina stała się bardziej ponura.

– Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, cóż, to ryzyko, które musisz podjąć – nie mogę nic zagwarantować. Mai-Mai możesz spotkać w jakimkolwiek miejscu po drodze, ale jeśli będziesz miał szczęście, a oni nie będą pijani, pewnie ci się uda, choć nie wiem, jak się zachowają wobec białego człowieka. Nigdy nie podróżowałem po tych okolicach z białym. Przykro mi, ale nie mogę nic zagwarantować.

Te słowa dźwięczały mi w uszach długo po tym, jak skończył mówić. Gdy obmyślałem tę podróż, miałem nadzieję prześlizgnąć się obok bojowników, ale Benoit wydawał się przekonany, że to nie jest możliwe.

Wzięliśmy po kubku herbaty od kucharki i zaczęliśmy omawiać różne opcje. Chciałem się dowiedzieć, co spowodowało, że ten mężczyzna był gotów zaryzykować dla mojego planu swoje życie.

– Z wykształcenia jestem inżynierem, ale w Kongu nie ma dla mnie pracy, jeśli nie liczyć organizacji humanitarnych, takich jak Care International. Teraz, kiedy wojna się skończyła, mamy nadzieję na poprawę sytuacji, ale to będzie możliwe tylko wówczas, gdy zapanieje normalność, a normalnie będzie tu tylko wtedy, gdy będzie można podróżować bezpiecznie. Ktoś musi jako pierwszy przejechać

kongijskie drogi po wojnie i jeśli uda mi się poczynić odpowiednie przygotowania, chętnie się tego podejmę.

– A nie boisz się podróżować przez takie tereny?

– Trochę się boję, ale przy tym myślę o korzyściach. Każda wioska, do której docieramy, każda rzeczka, którą przekraczamy, to kolejny krok.

– A podróżowanie w towarzystwie białego? Czy to nie będzie dla ciebie jeszcze bardziej ryzykowne?

– Zawsze jeżdżę w towarzystwie mojego kolegi Odimby. Opracowaliśmy strategię na wypadek, gdy uznamy, że sytuacja wygląda na niebezpieczną – staramy się nie zatrzymywać. Rebelianci w lasach nie spodziewają się motocykli, więc jeśli mamy szczęście, udaje nam się ich minąć szybko i jedyna część naszych ciał, jaką widzą, to plecy znikające w lesie. Jeśli się nie zatrzymujemy, nie mają pojęcia, czy jesteście czarni, biali, z Konga czy z zagranicy.

Przyjrzałem mu się uważnie, rozważając powierzenie mu życia. Była to trudna decyzja, ale przeważał sposób, w jaki odpowiedział na moje pytanie o to, ile powinienem mu zapłacić za pomoc.

– Care International płaci mi za zwiększanie zasięgu naszych działań wokół Kasongo. Podróż z tobą będzie częścią mojej pracy. Jeśli dostaniemy się do miasta, możesz porozmawiać z moimi przełożonymi na temat ewentualnych kosztów wynajęcia motocykli, ale jeśli chodzi o mnie, nie spodziewam się żadnej zapłaty.

Właśnie wtedy uznałem, że Benoit Bangana to człowiek, któremu mogę zaufać, ale przed dokonaniem ostatecznej oceny sytuacji postanowiłem jeszcze zapytać Michela. Znalazłem go w radiostacji, która mieściła się w kontenerze ONZ-etu ustawionym w ruinach fabryki bawełny z czasów belgijskich. Dawniej tysiące robotników pracowało tutaj nad obróbką surowej bawełny, rosnącej w centrum Konga. Setki ludzi postawiło tu ceglane domki, ale teraz większość z nich leżała w gruzach tuż przy ogrodzonej drutem kolczastym bazie.

Michel był zatopiony w rozmyśleniach, starając się wymyślić, jak miejscowy dowódca sił ONZ-etu powinien poradzić sobie z nadciągającym kryzysem: żołnierzy sił pokojowych stacjonujących w Ka-

lemii i innych miastach Konga przyłapano na płaceniu nieletnim Kongijkom za seks. Ten problem powraca przy niemal wszystkich ONZ-owskich misjach – młodzi, dobrze opłacani mężczyźni lądują w miejscach, w których bieda jest tak dotkliwa, że dziewczyny są gotowe sprzedawać swoje ciało. Michel właśnie wrócił ze spotkania, w trakcie którego omawiano ten problem. Ucieszył się, że odwróciłem jego uwagę, kiedy przedstawiłem mu Benoit i opowiedziałem o motocyklach. Naprawdę był pod wrażeniem.

– Działasz szybko. Dostęp do motocykli to świetna wiadomość. Dobra robota!

– Ale ciągle się martwię kwestiami bezpieczeństwa. Benoit mówi, że na tej trasie aż roi się od Mai-Mai. Czy znasz kogoś, z kim moglibyśmy porozmawiać o podróży przez ten rejon?

– Słyszałem o jednej osobie z Kalemii, która jest na tyle odważna, że regularnie podróżuje przez busz. Jest Pigmejem i przewodniczy małej organizacji humanitarnej, La Voix des Minorites – Głos Mniejszości. Człowiek, o którym mówię, to Georges Mbuyu. Przeprowadziłem z nim wiele wywiadów.

Nazwisko brzmiało znajomo, więc zajrzałem do swoich notatek. Pewien misjonarz Kościoła anglikańskiego z Ugandy mówił mi już o nim i jego organizacji. Czytałem nawet raport opisujący rolę, jaką odegrał w negocjacjach dotyczących zwolnienia czterech miejscowych wieśniaków zatrzymanych w czasie wojny przez prorandyjskich rebeliantów, którzy kontrolowali wówczas Kalemie.

Wdrapaliśmy się z Benoit do dżipa Michela i przejechaliśmy przez miasto, mijając taksówkarzy na rowerach i domokrążców. Droga prowadziła w górę, obok kościoła na cyplu, ale Michel zatrzymał się dopiero wówczas, gdy zrównaliśmy się ze zrujnowaną willą. Jej fasada była popękana, a podtrzymywały ją na wpół zniszczone fundamenty, odkryte przez kolejne pory deszczowe. Z willi wyszedł mały człowieczek, z pozoru chłopiec, ubrany w T-shirt, ciemne spodnie i japonki. Na widok Michela uśmiechnął się.

Przywitali się ciepło w języku suahili, po czym Michel przeszedł na francuski i przedstawił mnie jako pisarza. Georges z zaskocze-

nia podniósł brwi i dopiero po chwili przypomniał sobie o dobrych manierach.

– Proszę, wejdźcie do mojego biura – powiedział, prowadząc nas przez zapadającą się werandę do pustego pokoju, w którym większość farby już odpadła od ścian. Podstawił mi koślawe krzesło i zapytał, skąd się wziąłem.

– Chcę przejść drogą lądową aż do rzeki Kongo, tą samą trasą, co odkrywca Stanley, który był pierwszym białym człowiekiem w tym kraju. Martwi mnie kwestia bezpieczeństwa. Czy jesteś w stanie mi pomóc?

Georges przez chwilę się zastanawiał.

– Nie pamiętam, kiedy biały człowiek po raz ostatni przechodził przez ten rejon, ale to musiało być wiele, wiele lat temu. Znam kilku Mai-Mai z pobliskiego miasteczka. Moja organizacja reprezentuje interesy nie tylko Pigmejów, ale wszystkich mniejszości, a ta kategoria czasem obejmuje także Mai-Mai. Niektórzy z nich nie są rebeliantami, są wieśniakami, którzy muszą się jakoś bronić. To dobrzy ludzie i mogę z nimi porozmawiać. Problemem są przybysze z zewnątrz – to nad nimi trudno zapanować.

– Czy byłbyś w stanie pojechać ze mną na motocyklu w kierunku rzeki? – kiedy zadawałem to pytanie, starałem się nie wyglądać na zdesperowanego.

Przez chwilę Georges nie odpowiadał. Spojrzał na swojego towarzysza, dużo wyższego Mutombo Ngangę; wymienili kilka zdań w suahili, a potem zwrócili się do mnie.

– Nie mogę towarzyszyć ci w całej podróży, ale jestem w stanie zaryzykować przejażdżkę w okolicach Kalemii. Myślę, że jeśli pojedę z tobą, nie będzie ci groziło niebezpieczeństwo. Znam tych Mai-Mai bardzo dobrze, bo dorastałem w buszu. Mogę spróbować ci pomóc.

Georges miał w sobie pewność, która skłaniała do ufności. Podobnie jak Benoit nawet nie wspominał o pieniądzach, ale kiedy go zapytałem, jak mogę mu się odwdziżyć, burknął coś o donacji na rzecz La Voix des Minorites.

– A czy byłeś tam niedawno, na drodze do Kindu?

– Ostatnio nikt nie pokonał tej trasy w całości. Jest długa, ma ponad 700 kilometrów, ale w ostatnich latach przeszedłem wiele dróg. Widzisz, Mai-Mai nie wymknęli się zupełnie spod kontroli. Rozmawiałem z wieloma z nich i wiem, że mnie posłuchają. Ale kiedy opuścisz Katangę i znajdziesz się w kolejnej prowincji, Maniemie, to już będzie zupełnie inna sprawa. Ja w ogóle nie znam tamtych okolic.

Kiedy Stanley przybył w te rejony, już samo wypowiedzenie nazwy „Maniema” skłoniło wielu jego tragarzy do ucieczki. Plotkowano o kanibalizmie i magicznych praktykach. Ja byłem nieco bardziej optymistycznie nastawiony: Maniema miała się stać dla mnie problemem dopiero za jakiś czas. Teraz musiałem sobie poradzić z dużo ważniejszym wyzwaniem – jeśli Georges miał pojechać z nami, musiałem szybko znaleźć jeszcze jeden motocykl.

Ten sam problem zauważył Benoit.

– Mamy tylko dwa motocykle. Ty i Odimba pojedziecie na jednym, a na drugim będę jechał ja i wszystkie nasze bagaże. Nie ma miejsca dla Georges’a – no i jak on wróci do Kalemii? Jestem tu już od kilku dni i nie widziałem żadnych innych motocykli, których moglibyśmy użyć.

Zapytałem o tę kwestię Michela, a on okazał więcej optymizmu. Zawiózł nas do centrum miasta i zatrzymał się przed małym biurem prowadzonym przez organizację Światowy Program Żywnościowy, agendę odpowiedzialną za dostarczanie pożywienia uchodźcom. Kazał nam zostać w dziupie, a sam podszedł do strażnika. Po dwuminutowej rozmowie wrócił do nas.

– Mój przyjaciel zna człowieka z motocyklem. Spróbuje go znaleźć, ale to zajmie jakieś pół godziny.

Michel musiał wracać do siebie, więc Benoit, Georges i ja wyskoczyliśmy z samochodu i próbowaliśmy jakoś zabić czas. Zacząłem odczuwać uciążliwy upał i musiałem się szybko czegoś napić. Udało mi się znaleźć słodkawą oranżadę – kupiłem trzy od handlarza i wszyscy skryliśmy się w cieniu palmy. Po drogiej stronie ulicy wyrastały pozostałości budynku, który wyglądał na restaurację albo kawiarnię. Ogródek był ogrodzony, a na starym znaku widniał napis „Cercle des

Cheminots” – „Klub Kolejarzy”. Pamiętałem fotografie tego miejsca wykonane w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, kiedy przesiadywało w nim wielu pracowników belgijskich linii kolejowych – siedzieli przy małych drewnianych stołach, na które narzucono obrusy w szachownicę. Firma kolejowa – La Compagnie des Chemins de Fer des Grands Lacs, w skrócie CFL – była przez długie lata największym pracodawcą w mieście.

W środku, za biegnącą wzdłuż ściany drewnianą ladą, stał wysoki Kongijczyk.

– Czy masz coś do picia?

– Nie.

– A coś do jedzenia?

– Też nie.

Zanim wyszedłem, zauważyłem na jednym ze stołów zdekompletowaną zastawę. Moją uwagę przykuł leżący na wierzchu talerz: widniało na nim logo CFL, powiewający biało-czerwony proporzec, niezwykła pozostałość po czasach, w których klienci restauracji i pracownicy firmy jadali z talerzy firmowej zastawy.

Udaliśmy się na wyznaczone miejsce spotkania i zobaczyliśmy, że strażnik rozmawia z bardzo niechlujnie wyglądającym mężczyzną. W jego oddechu czuć było alkohol.

– Jeśli szukacie motocykla, szukacie mnie.

– Jeśli mam zgodzić się na to, by mój przewodnik pojechał z tobą na twoim motorze, najpierw muszę go zobaczyć – powiedziałem.

– Przewidziałem to. Proszę za mną.

Fiston Kasongo zaprowadził nas drogą wiodącą od głównej ulicy do porzuconej stacji kolejowej, gdzie ukrył swój pojazd w wysokiej trawie.

– Proszę, oto mój motocykl. Jest świetny.

Widziałem, że Benoit nie jest przekonany. Sam dysponował dwiema terenowymi yamahami. Miały pojemność zaledwie 100 centymetrów sześciennych, ale zapewniał mnie, że właśnie takie motory są najlepsze: wystarczająco lekkie, by przenieść je nad przeszkodami, i odpowiednio mocne, by poradzić sobie z wielkimi odległościami

i paskudnymi drogami. Motor marki TVS Max, którym dysponował Fiston, wyglądał na dużo masywniejszy.

Benoit klepnął mnie w ramię – chciał porozmawiać o zastrzeżeniach.

– Nigdy nie widziałem motocykla tego typu. To moim zdaniem nie wygląda zbyt dobrze.

Zacząłem się wahać, ale wtedy do rozmowy włączył się Georges.

– A moim zdaniem jest niezłe. I tak będę z wami jechał tylko przez jeden dzień. Dawniej pokonywałem tę trasę na własnych nogach, więc w razie czego zawsze mogę to powtórzyć.

Wystarczyło mi to, że Georges był gotów na takie rozwiązanie. Benoit powoli skinął głową i wróciłem do chwiejącego się Fistona. Musieliśmy jeszcze uzgodnić cenę. Zapytałem, jakiej zapłaty za dzień się spodziewa. Przez chwilę się wahał, po czym rzucił kwotę 125 dolarów. Benoit pokręcił głową, więc zaoferowałem 50, a Fiston z radością zgodził się na taką stawkę. Uściśnął moją dłoń, obiecał stawić się w siedzibie IRC, a przed odejściem poprosił o jakąś zaliczkę na benzynę. Gdy dałem mu 20 dolarów, szybko zniknął, oddalając się na rżężącej maszynie ścieżką wydeptaną w wysokich trawach.

Kolejne trzy dni spędziłem na przygotowaniach do podróży. W pierwszej kolejności musiałem zdobyć przepustki od komisarza okręgu i komendanta wojskowego. Nie chciałem się przedstawiać dokładnie zbyt wielu ludziom, obawiając się, że władze mogłyby się we mnie dopatrzeć źródła ewentualnych problemów, ale Michel zapewnił mnie, że Pierre Kamulete nie zadaje zbyt wielu pytań. Zaproponował, że przedstawi mnie komisarzowi, więc drugiego dnia mojego pobytu w Kalemii zabrał mnie i moją ekipę – motocyklistę Benoit i Pigeja Georges’a – drogą prowadzącą obok kościoła do dawnego domu gubernatora kolonialnego, teraz biura państwowego komisarza.

Siedzieliśmy na starej szkolnej ławce w holu, w towarzystwie kilku innych petentów, którzy także czekali na audiencję. Gdy nadeszła nasza kolej, energicznie wmaszerowaliśmy do dużego pokoju, gdzie stało biurko, za którym zasiadał Kamulete. W przeciwległym kącie pokoju

siedziało dwóch żołnierzy: jeden był tegim mężczyzną w mundurze w kolorze khaki, drugi marynarzem.

– Spójrz, Michel, co ja mam z tym zrobić? – komisarz chciał usłyszeć opinię na temat kartki papieru pokrytej odręcznym pismem. Wręczył ją Michelowi, który zaczął czytać. Był to anonimowy donos w języku suahili na niewydolność i korupcję jego administracji. Ulotkę przybito do palmy w centrum miasta. Kamulete i jego współpracownicy byli oskarżani o celowe odcinanie dopływu prądu z elektrowni wodnej w Benderze. Mężczyźni ostro dyskutowali przez kilka minut, a ja powoli kręciłem głową. Podczas gdy reszta świata topiła się w informacjach dostarczanych za pośrednictwem szerokopasmowego Internetu i telewizji satelitarnej, debata polityczna w Kalemii toczyła się wokół wiadomości zapisanej na kartce z dziecięcego notatnika przybitej do drzewa.

Kiedy skończyli, Michel postanowił mnie przedstawić. Podkreślił moje zainteresowanie Stanleyem i mój związek z „The Daily Telegraph”, a dopiero potem ja mogłem podziękować komisarzowi za poświęcony czas i poprosić o odpowiednie pozwolenia na przejazd przez Katangę.

Kamulete wysłuchał moich wynurzeń i poczynił kilka uwag na temat tego, jak bardzo niebezpiecznie jest teraz w Kongu. Sprawiał wrażenie, jakby traktował moją podróż jak błahostkę, zachciankę głupca, który po kilku dniach wróci do Kalemii. W ogóle nie wspominał o pieniądzach. Po prostu sprawdził mój paszport, dokumenty Georges’a i Benoit, po czym kazał swojemu sekretarzowi przygotować odpowiednie pieczętki. Wskazał też na dwóch wojskowych siedzących w kącie pokoju i przypomniał, że będę potrzebował zgody miejscowego komendanta, Alberta Abiti Mamulaya. Kiedy komisarz wspominał jego imię, pułkownik zaczął się wiercić na krześle i powiedział, że musimy się udać do jego kwatery głównej po odpowiednią pieczętkę.

Wyszliśmy na zewnątrz i wsiedliśmy z nim do służbowego peugeota, który mógłby nie przeżyć kolejnego zadrapania czy stłuczki. Na naszych oczach kierowca wrzucił wsteczny bieg i wbił się mocno w kopiec kamieni, po czym obrócił auto i zaczął pędzić w dół wzgórza,

w kierunku baraków, podskakując na każdym wystającym z ziemi korzeniu.

Pamiętałem opis tych samych baraków z lat sześćdziesiątych XX wieku, pióra amerykańskiego dziennikarza Blaine’a Littella. Przybył do Albertville tuż po tym, jak siły rządowe odzyskały miasto. Urządzono tu dla niego specjalny pokaz tortur. Nieszczęsny rebeliant, oskarżony przez żołnierzy rządowych o udział w powstaniu w Kalemii, był na jego oczach poniżany, a wszystko to działo się pod lufami karabinów.

Kiedy znalazłem się w tych samych zabudowaniach 40 lat po Littellu, nie było już rebeliantów, których można by torturować. Pułkownik zniknął w czeluściach starego domu, a my próbowaliśmy podążać za nim. Zagroził nam drogę skulony mężczyzna tego samego wzrostu, co Georges, choć pozbawiony jego uroku, i kazał nam czekać na zewnątrz. Wręczyłem mu kawałek papieru podbity przez komisarza i stanąłem wraz z grupą innych petentów pod drzewem mango. Niektórzy mieli ubrania w kolorze khaki, więc założyłem, że byli żołnierzami. Najstarszy z nich zdjął zwisającą z najniższej gałęzi drzewa trąbkę. Była powyginana i podziurawiona, ale on z pełną powagą zaczął ją polerować rękawem.

Podszedłem do niego i zapytałem, kim jest.

– Jestem trębaczem. Muszę trąbić o świcie, w południe i o zachodzie słońca.

– Zawsze byłeś w wojsku?

– Nie, trafiłem tu dopiero w tym roku. Przed odejściem Belgów byłem muzykiem w orkiestrze kolejowej i jestem jedyną osobą w całej Kalemii, która wie cokolwiek o muzyce.

Kiedy miałem już wszystkie potrzebne pieczętki, pozostało mi tylko zająć się benzyną, jedzeniem i wodą na drogę. Przed wyjazdem chciałem jeszcze sprawdzić motocykle, więc zaproponowałem przejazdkę do Mtowy, wioski nad jeziorem, w miejscu, w którym Stanley po raz pierwszy postawił stopę na kongijskiej ziemi.

Georges powiedział, że Mtowę zna doskonale i chętnie mnie poprowadzi. I tak udaliśmy się na wycieczkę. Na motocyklu Benoit

siedział też Georges, a ja prowadziłem drugi pojazd. Musieliśmy przejechać po moście przerzuconym nad Lukugą, zbudowaną przez Belgów stalową konstrukcją z jednym pasem. Roilo się na nim od pieszych i rowerzystów, a Benoit musiał często używać klaksonu, zanim wreszcie udało nam się skręcić na północ, przejeżdżając obok bazy ONZ-etu. Kiedy Michel podwoził mnie z lotniska, droga wydawała się piaszczysta, co w czasie jazdy motocyklem było niezwykle niebezpieczne.

Droga zaprowadziła nas na tyły bazy i po raz pierwszy mogłem docenić wielkość fabryki bawełny, którą zbudowali Belgowie. Oprócz magazynów stało tu wiele domów dla pracowników, a wszystko razem tworzyło wielkie obozowisko. Bawełna nie rosła na brzegu jeziora, ponieważ tutejszy mikroklimat nie sprzyjał jej uprawie. W czasach belgijskich surowiec był transportowany setki kilometrów koleją i drogą prowadzącą do fabryki. Już z samych gabarytów łatwo można było wywnioskować, że gdy działała, musiała stanowić niezwykle widok, ale gdy przejeżdżaliśmy obok niej na brzęczących motocyklach, była już tylko ruiną.

Jechaliśmy powoli pozostałościami czegoś, co dawniej było drogą. Musieliśmy uważać na strumyki, które wyżłobiły sobie koryta w poprzek jezdnii, a także na ogromne połacie błota. Przez kilka kilometrów trasa wiodła po płaskim terenie, po czym szlak zaczął się wspinać na grupkę wzgórz. Minęliśmy kilka wiosek, gdzie sam dźwięk motocykla wystarczał, by przyciągnąć chmury dzieci. W jednej z osad zobaczyłem, że Georges poklepuje Benoit po ramieniu, prosząc go, aby się zatrzymał. Zeskoczył z motocykla i zaczął rozmawiać z grupką wieśniaków. W tej scenie było coś dziwnego i dopiero po chwili zrozumiałem, co zwróciło moją uwagę – wszyscy byli wzrostu Georges'a.

– To jest wioska Pigmejów – wyjaśnił. – Czasem tu przyjeżdżam, żeby się dowiedzieć, co się dzieje z tymi ludźmi. Walka o ich prawa to jeden z najbardziej pochłaniających aspektów mojej pracy.

Do drzewa był przytwierdzony koślawy znak z wyprostowanego kawałka kory, a napis na nim głosił „La Voix des Minorites”. Wioska

składała się z małych domków zbudowanych z traw, skupionych wokół zakurzonego placu wydeptanego przez nieobute stopy. Kiedy Georges rozmawiał ze starszymi, grupa dzieci ubranych w jakieś łachy grała w dość niebezpieczną grę: jedna z zawodniczek starała się zebrać jak najwięcej patyków rozrzuconych na ziemi, próbując jednocześnie odbijać kokosy rzucane przez rywali.

Droga się wznosiła, a busz gęstniał, aż wreszcie udało mi się dostrzec jezioro. Zatrzymałem motocykl i wspiałem się na skarpę. Akwen sięgał na wschód bardzo daleko, a pode mną leżała Mtowa i cypel, pierwszy kawałek kongijskiej ziemi, na którym Stanley postawił stopę we wrześniu 1876 roku.

– Wiem wszystko o Stanleyu – powiedział Idi Kavunja, wódz z wioski. Dotarcie tu z Johannesburga zajęło mi tydzień, ale wreszcie byłem na tropie odkrywcy. Rozmawiałem z mężczyzną, którego przodkowie mogli spotkać się z podróżnikiem, ale magia tej chwili przysła, gdy stało się jasne, że wódz bredzi.

– Jest tu pochowany. Jeśli mi zapłacisz, pokażę ci jego grób. – Spojrzałem mu w oczy. Ściągną na jego cherlawym karku napięły się jak struny gitarowe, a jego głos stał się zjadliwie wysoki. – Jesteś białym człowiekiem, masz telefon. Ja jestem wodzem i potrzebuję telefonu. Musisz mi go dać.

Nie wyglądał groźnie: drobny człowieczek w strzępach prążkowanego garnituru, który był na niego o kilka rozmiarów za duży. Jego szyja objęła się o szeroki, brudny kołnierzyk koszuli jak szyja żółwia. Wyglądał jak dziecko w ubraniu rodziców. Ale w jego słowach nie było nic dziecinnego.

– Wy, biali, przyjeżdżacie tylko po to, żeby czerpać z Konga zyski. Stanley był pierwszy. Potem przyszli Belgowie. Skąd mam wiedzieć, że nie szukasz zysku?

Georges wyglądał na zawstydzonego, a ja grzecznie, ale stanowczo przeprosiłem i wróciłem do naszych motocykli. Skierowaliśmy się nad brzeg jeziora ścieżką prowadzącą wśród sitowia. Kiedy stała się zbyt błotnista dla motorów, zatrzymaliśmy się i poszedłem w kierunku przerwy w trzcinach. W krucoczarnym błocie po kostki stał

chłopiec szukający robaków. Krzyknąłem do niego, pytając o nazwę tego miejsca.

– Mtowa!

– A znasz starą nazwę? Kiedyś Mtowę nazywano „Przeprawą Arabów”. To tutaj lądowali łowcy niewolników przybywający z drugiej strony jeziora.

Chłopiec pomyślał przez chwilę, tępo potrząsnął głową i wrócił do polowania na robaki. Nagle krzyknął coś w suahili, co sprawiło, że Georges zamarł.

– Powiedział, że wszędzie tutaj leżą miny lądowe zostawione przez ugandyjskie wojska, które okupowały te tereny w czasie wojny. Popatrz tam! – krzyknął, wskazując ręką czerwony znak ostrzegawczy. Czarny, duży napis głosił: „Uwaga! Miny!”

Bardzo powoli wycofaliśmy się po śladach i ruszyliśmy do Kalemii.

Wycieczka do Mtowy była udaną próbą. Motory dzielnie oparły się szokującemu stanowi, w jakim znajdowała się droga, i mogliśmy się poruszać z prędkością około 10 kilometrów na godzinę. Nie zrobiłem sobie żadnej krzywdy, a zarówno Benoit, jak i Georges okazali się pomocnymi towarzyszami. Jedyne zadrą były słowa wodza, pierwsze zderzenie z goryczą, jaką mieszkańcy Konga odczuwali wobec wszystkich obcokrajowców.

Stary człowiek może i był pijany, ale miał rację. Cudzoziemcy rabowali i wyzyskiwali ludy znad rzeki Kongo od czasów pierwszych europejskich i arabskich handlarzy niewolników. Na terytorium zajętych przez Stanleya w imieniu króla Leopolda odbyło się coś, co wielu uznaje za pierwsze nowożytne ludobójstwo – miliony Kongijczyków pracowało ponad siły, próbując zaspokoić niemal nienasycone potrzeby kolonizatorów, zwłaszcza związane z kauczukiem. Po odzyskaniu przez Kongo niepodległości inne państwa bawiły się krajem, odzierając go z zasobów naturalnych i wykorzystując jego strategiczną pozycję. Nie zastanawiały się przy tym w ogóle nad cierpieniem zadawanym jego mieszkańcom. W każdej epoce swojej ociekającej krwią historii Kongo było traktowane przez obcych bez szacunku. Jeżeli

ma się dokonać jakikolwiek postęp, obcokrajowcy muszą traktować Kongijczyków jak równych sobie.

Namierzenie ostatniego białoskórego mieszkańca miasta zajęło mi sporo czasu. Michel żył tu od dwóch lat, ale tylko kilka razy słyszał, jak wspomniano tajemniczą kobietę, która mieszkała w starej willi na wzgórzu za kościołem.

Dom Genevieve Nagant stał nieco na uboczu głównej drogi. Musiałem włożyć wiele wysiłku w przedzieranie się przez dziewiczy busz, zanim wreszcie dotarłem do drzwi frontowych i zapukałem. Usłyszałem, jak w środku otwierają się liczne zamki, aż wreszcie drzwi otworzyła uśmiechnięta siedemdziesięciosiedmioletnia kobieta. Hol i pokój na parterze wypełniały książki. Wilgoć sprawiła, że większość z nich spuchła i straciła okładki. Wyglądało to jak biuro ekscentrycznego profesora Oksfordu, a wrażenie dodatkowo wzmocniło wejście pani Nagant, która przeproszała za bałagan, wypchała mi książki i broszury, a wreszcie zaprowadziła na górę, do dużo świeższego salonu.

Kiedy wszedłem do pokoju, jedna rzecz natychmiast przykuła moją uwagę. Na ścianie wisiały dwa obrazy. Narysowano na nich kredkami czarnoskórych rybaków wiosłujących w kanoe na tle buszu i krytych strzechą chat. Było gorące popołudnie, ale na widok tych rycin dostałem gęsiej skórki – takie same kupiła moja mama, kiedy przejeżdżała przez to miasto w roku 1958.

– Podobają się panu? – pani Nagant zauważyła moją reakcję.

– Przypominają mi o moim domu w Anglii. Moja matka kupiła dokładnie takie same w czasie swojej podróży po Kongu, jeszcze przed moim urodzeniem.

Pani Nagant uśmiechnęła się i przez chwilę razem patrzyliśmy na ryciny.

– Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku Albertville przeżywało swoje najlepsze czasy. Na stację przyjeżdżały pociągi, a do portu zawijały okręty. Pamiętam, że można było usłyszeć gwizd statków opuszczających port, a czasem nawet muzykę graną przez orkiestrę na górnym pokładzie pierwszej klasy.

Wyszliśmy na zewnątrz, żeby usiąść na balkonie. Dom stał na cyplu w pobliżu kościoła, więc rozpościerał się stąd piękny widok na jezioro. Niebo było czyste, a jasne słońce nadawało wodzie połysk, pierwszy raz w czasie mojej wizyty w Kalemii. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego Belgowie mówili o tym mieście „perła Tanganiki”.

– Urodziłam się w pobliżu Liège, ale przyjechałam tutaj w 1951 roku. Pracowałam jako nauczycielka wiedzy o społeczeństwie. Miałam uczyć Kongijki z wioski o życiu w miastach, takich jak to. Prowadziliśmy zajęcia z higieny, gotowania, opieki nad dziećmi. Ludzie pamiętają okres kolonializmu belgijskiego jako czasy okrutne, ale pod koniec tamtej epoki w całym społeczeństwie widoczny był postęp. Mieszkałam z pielęgniarką pracującą wówczas przy bardzo skutecznym programie zdrowotnym, dzięki któremu udało się całkowicie zwalczyć na tych terenach trąd i niemal zupełnie malarię. Może pan to sobie wyobrazić? Dzisiaj trąd i malaria zabijają w całym Kongu tysiące ludzi.

W 1960 roku, po przyznaniu Kongu niepodległości, miały miejsce pierwsze akty przemocy. Niemal wszyscy Belgowie opuścili Albertville w ciągu kilku tygodni. Dlaczego pani Nagant została?

Jej odpowiedź zdradziła, że należała do niezwykle rzadkiej odmiany belgijskich kolonialistów, którym rzeczywiście zależało na dobru mieszkańców.

– Ponieważ jeśli zasadzisz ziarno, musisz je pielęgnować, zanim rozkwitnie.

Od czasu uzyskania przez Kongo niepodległości przeżyła w tym miejscu cztery dekady chaosu. Jej niewielka belgijska pensja urzędnicza była przesyłana pocztą, a kiedy w latach siedemdziesiątych XX wieku system pocztowy się zawalił, zaczęła polegać na uprzejmości belgijskich misjonarzy, którzy przywozili jej drobne sumy pieniędzy, gdy wracali do Kalemii z urlopów.

– Przykro mi to mówić, ale teraz jest gorzej niż kiedykolwiek. Przyzwyczaiałam się już do braku bieżącej wody i prądu. Przyzwyczaiałam się do słabego zaopatrzenia. Ale powód, dla którego teraz jest naprawdę źle, to brak rządów prawa. Były czasy, kiedy stacjonowali tu policjanci, którzy przynajmniej starali się utrzymywać jako taki

porządek. Teraz nie ma nic. Wszystko stanęło na głowie. Kierowca organizacji ONZ-owskiej ma pensję 10 razy wyższą niż rządowy gubernator prowincji. Jak można skutecznie sprawować władzę w takich okolicznościach? Jak mówię, wszystko stanęło na głowie...

Weszła do domu, a po kilku chwilach wróciła z dzwiczącą tacą. Były na niej butelka wina i dwa kieliszki. Patrzyliśmy, jak błękit jeziora ciemnieje w miarę obniżania się słońca nad horyzontem i uczciliśmy moje przybycie domowym białym winem.

Zapytałem, czym pani Nagant wypełnia swoje dni, a ona wyjaśniła, że stara się napisać książkę o wczesnych kongijskich plemionach odkrytych przez pierwszych osadników pod koniec XIX wieku. Szczególnie interesowała się Stephanem Kaozeem, księdzem, który został pierwszym czarnoskórym opatem w Kongu. Zbierała jego zapiski i myśli.

Kiedy powiedziałem, że planuję udać się drogą lądową do rzeki, zastanowiła się przed chwilę i poszła coś wyjąć z pogrążonej w chaosie biblioteczki na dole.

– Proszę, to jedno z przysłów opata Kaozego. Może się panu przydać.

Wziąłem do ręki cienki notatnik i przeczytałem zdanie, które wskazywała. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XIX stulecia Kaoze miał powiedzieć: „Kiedy wybierasz się w podróż, liczy się nie tylko siła twoich nóg, lecz także zapasy, jakie zgromadzisz na podróż”.

Szedłem przez zrujnowaną Kalemie i myślałem o moich zapasach i przygotowaniach. Mój umysł pracował intensywnie, gdy próbowałem zdecydować, co powinienem zrobić wobec zagrożenia zerwaniem ustaleń pokojowych przez prorwandyskie grupy rebeliantów.

Jeśli rozpętałaby się wojna, nie byłbym w stanie zaryzykować przejścia przez Kongo. Michel mówił, że w wyniku zażść w Burundi ONZ wprowadziła już stan alarmowy, ale przed rozpoczęciem kolejnej fazy planu bezpieczeństwa – ewakuacji swojego personelu, w tym Michela – czekała na rozwój wypadków.

Musiałem podjąć decyzję do piątej rano. Benoit i Odimba byli poza bazą już dłużej niż tydzień i w obliczu pogarszającej się sytuacji

chcieli jak najszybciej wrócić do siebie. Powiedzieli mi, że o świcie odjeżdżają – ze mną lub beze mnie.

Słońce już zaszło i miasto było śmiertelnie ciche, kiedy schodziłem ze wzgórza obok pustego cokołu, na którym stał pomnik Alberta I, dopóki wściekły tłum nie zwałił go po odzyskaniu niepodległości. Przeszedłem obok stacji kolejowej, gdzie moja mama wysiadła z pociągu w latach pięćdziesiątych XX wieku, i obok ruin hotelu, o którym pisał Evelyn Waugh.

Cztery lata zajęło mi dotarcie do tego punktu. Jeśli nie podjąłbym próby następnego dnia, istniało duże ryzyko, że na kolejną sposobność będę musiał czekać bardzo długo.